

Leszek

Był. Nie: jest.

Jest człowiekiem paradoksów. Na pierwszy rzut oka – kpiarz, a przecież poważny, wstuchany w ruchy tektoniczne historii. Eksperymentator i sympatyk awangardy, a jednak przekonany o sensie zachowania ciągłości w kulturze. Myślę, że on by odrzucił te wszystkie etykiety. Był katastrofistą, a mówił, że nie jest, i cała jego mrówczo-tytaniczna praca pisarska była skierowana przeciw katastrofie, przeciw zniszczeniu. Bywał „łowcą”, jak to sam określał, ale też pracowitym kronikarzem życia literackiego. W „Nowej Polsce” w każdym numerze zamieszczał (a w dostarczaniu tekstów był najbardziej punktualnym autorem, jakiego znałem) wypisy z prasy kulturalnej, które zresztą z czasem stały się rubryką polityczną, bo Leszek uważał, że polityka i jej język, a przede wszystkim pypcie na tym języku stanowią naszą rzeczywistość. Zaangażowany, wkurzony, a jednocześnie w jakimś sensie zdystansowany, jakby wspominał wszystkie katastrofy, których doświadczyła ludzkość. Był więc kronikarzem, uwielbiał bibliografie, tę wiedzę o świecie w pigułce. Podobało mu się chyba, jak te pigułki, te miniinformacje koegzystują i się zderzają. Śledził oszustwa języka, przypadkowe albo znaczące i groźne manipulacje. Zagadka Szarugi: „Kto wywoła trzecią wojnę? Dziennikarze”. A fascynowała go także magia języka, jego „zaumność”, pozarozumowość, jak u Wielimira Chlebnikowa.

Bywał ostrym polemistą i doceniał wartość prowokacji intelektualnej, co odziedziczył po ojcu, Witoldzie Wirpszy, którego poznałem wcześniej niż Leszka, i to od niego dostałem przesłanie: „Naucz się pięknej sztuki wyprowadzania dorosłych z równowagi, a połowa wygranej – twoją”.

Lubił literackie ekscesy i eksperymenty; nie znajdę już takiego jak on partnera do rozmowy o dadaistach i futurystach.

Czy to wszystko, co pisał, można jakoś posegregować? – A po co? – zapytałby Szaruga. To przecież jedna wielka... no, właśnie: sylwa. Świetna formuła, pod którą w ostatnich latach publikował swoje zapiski w „Tekstualiach”.

Rozmowy z nim też były sylwiczne. Tyle się nagadaliśmy, a jednak pozostaną obszary życia dla mnie nieznanne, bo nie było czasu na snucie jakichś dłuższych wspomnień. Ot, przebłyski, anegdoty. Nieprzypadkowe, znaczące. Czy da się je w coś posklejać?

W swojej pracy był wytrwały i zarazem rozrzutny. Jeśli czegoś nie udało się wydać, to trudno. Tak nie wyszły nigdy ani ułożona przez niego znakomita antologia poezji niemieckiej, ani wybór kronik z „Nowej Polski”. Książki były gotowe do druku, ale nie ukazały się. Leszek poszedł dalej.

No więc: kronikarz, katastrofista, aktywista (można chyba przywrócić pierwotny sens tego słowa), człowiek sprawiedliwy. Myślę przede wszystkim o jego stosunku do literatury. Odpełnił się od znanych rodziców, przyjmując pseudonim, który stał się nazwiskiem, a przecież to dzięki Szarudze nastąpił powrót poezji jego ojca – Wirpisy. Leszek zadbał o spadek

W każdym numerze „Nowej Polszy” przez osiemnaście lat dawał wybór wierszy poetki czy poety, opatrzone krótkim wprowadzeniem, małym esejem. Przychodził do redakcji z torbą pełną tomików, ale nie swoich, jak mają w zwyczaju pisarze, tylko cudzych. Chwalił, ekscytował się nawet, po prostu cieszył się, że komuś się udało, że wydał ważną książkę. Rzadka to cecha w naszym literackim tyglu. Żeby nie przesłodzić, przyznać trzeba, że miał też swoje poetyckie antypatie. Niewiele, ale miał. O nich po prostu nie pisał, ale nie miał nic przeciw temu, że na łamach „Nowej Polszy” robili to inni, że go zastępowali. Jego wstępy do wyborów wierszy to swoją drogą kolejna książka *in spe* Szarugi. To, bagatelka, około 180 odcinków panoramy współczesnej poezji polskiej. Wszyscy poeci, o których tekstach napisał Szaruga, powinni skłonić głowę nad jego grobem.

Leszka, naszego brata. Właśnie braterstwo (co odczytuję teraz z dedykacji na podarowanych mi książkach) było osią jego świata, jego relacji z ludźmi.

Nigdy już do niego nie zadzwonię i nie usłyszę tego serdecznego pytania: „No, czego tam?”.